

Na manowcach antypopulizmu

17 lutego 2021

Próby wyjaśnienia fenomenu populizmu, który daje o sobie znać od Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii po Brazylię i Filipiny, zazwyczaj traktują go w kategoriach choroby, która trapi współczesne demokracje. Jak głosi dobrze znana opowieść, populiści manipulują ludem, uruchamiają w nim najgorsze instynkty, żerują na jego niezadowoleniu, brakach w wykształceniu czy destrukcyjnym wpływie mediów społecznościowych. Sięgają po język dyskryminujący, który dzieli społeczeństwa po liniach rasy, pochodzenia, płci czy orientacji seksualnej. Dla liberalnych komentatorów wyrazicielami populistycznej choroby nie są wyłącznie politycy prawicowi, tacy jak Donald Trump, Boris Johnson, Marine Le Pen czy Jair Bolsonaro. Populizm ma mieć także lewicowe oblicze, które reprezentują Bernie Sanders, Jeremy Corbyn, Jean-Luc Mélenchon czy Andrés Manuel López Obrador. Dla krytyków populizmu istotniejsze niż różnice między jego prawicową a lewicową odmianą są punkty wspólne: odwoływanie się do emocji, wodzowskie przemówienia czy przekładanie konfliktu ponad konsensusem.



W swojej książce amerykański publicysta Thomas Frank dokonuje przesunięcia perspektywy. Zamiast pytać o źródła populizmu, zastanawia się „skąd się wzięli i w jakich okolicznościach pojawili się antypopuliści?”. Z czym konkretnie walczyli i jakimi argumentami? Jakie były i są ich cele? Krótka historia antypopulizmu, którą wykłada Frank w książce „The People, NO”, pozwala przy okazji odgrzebać zapomniane dzieje populizmu jako ruchu konsekwentnie demokratycznego, reformistycznego i progresywnego. Ruchu, którego potrzebujemy dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek.

Na wstępie trzeba zaznaczyć, że rozczaruje się ten, kto

oczekiwałby od Franka wielowiekowej i globalnej w swych ramach historii antypopulizmu. Autor nie sięga tak daleko, jak zazwyczaj czynią to filozofowie polityki chcący badać genezę populizmu i reakcje, jakie ten historycznie wyzwał. Nie uświadczymy tu więc powrotów do świata antycznego z jego walkami patrycjuszy z plebejuszami. Nie cofniemy się do wczesnej nowożytności, gdy feudalizm trząsł się w posadach od insurekcji, żakerii, rebelii i odmowy pracy. Ani nawet do bardziej nowoczesnych i znanych antyplebejskich reakcji, które towarzyszyły wielkim rewolucjom w Anglii, Francji, Stanach Zjednoczonych czy Rosji. Jak na dobrego Amerykanina przystało, Frank nie wyściubia nosa poza opłatki swojego kraju. Niekiedy tylko czyni aluzje do innych części obszaru anglosaskiego – do Wielkiej Brytanii czy Australii. Pomimo tego, śledząc wraz Frankiem kolejne manifestacje populizmu i antypopulizmu w USA od końca XIX wieku po czasy obecne, zyskujemy ramę poznawczą, która z powodzeniem daje się zaaplikować także do innych państw. Szczególnie adekwatna i aktualna wyda się ona czytelniczce z Polski.

Farmerzy z Omaha nominują „człowieka ludu”...

Trzeba przyznać, że Frank ma mocny argument, żeby historię antypopulizmu zamknąć właśnie w granicach Stanów Zjednoczonych. Jest tak dlatego, że to właśnie tam istniał poważny ruch, który otwarcie identyfikował się z pojęciem populizmu. The People's Party (Partia Ludu), znana także jako Populist Party (Partia Populistyczna) czy – w skrócie – Populists (Populiści), była głośnym zjawiskiem w polityce amerykańskiej w ostatniej dekadzie XIX wieku. Wyrosła ona przede wszystkim z ruchu, który grupował niezadowolonych farmerów, którzy domagali się ekonomicznych reform wzmacniających pozycję drobnych wytwórców względem korporacji, monopolii czy magnatów kolejowych i prowadzących do niezbędnego interwencjonizmu państwa w interesie ludu, a nie wielkiego

kapitału. Populiści próbowali jednak wyjść poza swoją bazową grupę wsparcia i szukali poparcia wśród ruchu związkowego pracowników fabrycznych z miast, a także wśród czarnoskórych rolników i biedoty, z którymi chcieli budować wspólny front po liniach klasowych.

Frank postanowił na początek sprawdzić, na ile ówczesni Populiści przystają do wizerunku, jakim cieszą się współcześni populiści pokroju Trumpa. Okazuje się, że związki między nimi są bardzo niewielkie. Chociaż wśród aktywistów The People's Party pojawiały się ekscesy rasistowskie i antysemickie, nastroje antyinteligencckie i słabość do teorii spiskowych, a także brak zaufania do władz publicznych i pragnienie deregulacji gospodarki, to miały one – jak udowadnia Frank – marginalny charakter. Zwłaszcza na tle swojej epoki Populiści okazywali się ugrupowaniem jednoznacznie progresywnym: domagającym się nie tylko równości ekonomicznej, ale rozumiejącym, że uda się to osiągnąć jedynie poprzez oddolną demokratyczną mobilizację i daleko posunięte samokształcenie. Nie odrzucali wiedzy i kultury – odrzucali głupie rady „mądrych głów” i snobizm. Nie dawali się rasistowskim demagogom, lecz przerzucali mosty między ludźmi pracy w poprzek podziałów rasowych, pomiędzy miastem a wsią czy Południem i Północą. Choć nie kupowali wyczelowanych ideologicznych opowieści o postępie technologicznym, to w żadnym razie nie byli tradycjonalistami – nowe wynalazki chcieli wprowadzać w interesie ludowym, a nie korporacyjnym.

...szacowni obywatele wpadają w panikę

Dlaczego w takim razie termin „populista” kojarzymy dziś z diametralnie przeciwnymi własnościami niż te, których wyrazicielami byli jego protoplaści? Czy to tylko świadectwo naszej historycznej ignorancji? A może po prostu należy uznać, że w kolejnych dziesięcioleciach populizm przeszedł

metamorfozę? Frank pokazuje, że negatywne skojarzenia związane z populizmem pojawiły się już w odpowiedzi na rosnące znaczenie The People's Party. Osiągnęły one apogeum podczas kampanii prezydenckiej w 1896 roku, kiedy Populiści wsparli kandydata Partii Demokratycznej, reformatorsko nastawionego Williama Jenningsa Bryana. Polityk, któremu nadano przydomek „The Great Commoner” („Wielki człowiek ludu”) został nominowany dzięki frakcjom przychylnym farmerom, a w szczególności opowiadającym się za odejściem od polityki monetarnej wspierającej się na parytecie złota, na której cierpieli szczególnie mocno ludzie pracy. W swojej kampanii Bryan uderzał w jawnie populistyczne tony, przeciwstawiając ciężko pracujący lud próżniaczym elitom. Jego wystąpienia były jednak wolne od szczucia jednej grupy obywateli na innych. Tej ostatniej zasady nie potrafili natomiast wcielić w życie przeciwnicy Demokracji.

Kontrkandydatem Bryana był Republikanin William McKinley. Na plakacie wyborczym stoi na amerykańskiej złotej monecie, podtrzymywanej przez ręce białych, elegancko ubranych mężczyzn. Rzeczywiście, podporą McKinleya były klasy posiadające, które obficie finansowały jego kampanię i użyły wszelkich dostępnych środków medialnych, żeby zdyskredytować Bryana. W gazetach skierowanych do białych szacownych obywateli Bryan był portretowany jako awanturnik stojący na czele motłochu, niebezpieczny anarchista, którego poczynania zrujnują amerykańską gospodarkę i wyniosą do władzy ludzi najgorszego sortu. Co istotne, przeciwko Bryanowi występowały nie tylko – co zrozumiałe – elity pieniądza, ale także elity wykształcenia. Czołowi ekonomiści podnosili larum, że gospodarcze idee Demokracji i Populistów są na bakier ze świętymi i nienaruszalnymi zasadami ekonomii. Tymczasem Populiści świetnie rozumieli, że idee warstw wykształconych są ideami klasy panującej.

Anty-populistyczna krucjata przyniosła efekty. McKinley pokonał Bryana, a rozbici Populiści, którzy nadszarpnęli swoją

niezależność i włączyli się w rywalizację dwóch głównych partii, znaleźli się w odwrocie. Ich głównymi kontynuatorami była robotnicza lewica i ruch związkowy, ale na kolejną panikę przeciwko populiście trzeba było czekać aż do lat 1930.

Populizm Nowego Ładu...

Tym razem w roli demonizowanego demagoga wystąpił nie kto inny niż sam Franklin Delano Roosevelt, który w wyborach prezydenckich 1936 roku walczył o reelekcję w cieniu Wielkiej Depresji. Demokrata FDR nie tylko postanowił walczyć z recesją poprzez prospołeczny interwencjonizm państwowy, czym naraził się tym samym potężnym siłom, które 40 lat wcześniej zatopiły kandydaturę Bryana. Roosevelt wyciągnął lekcję z tamtych wydarzeń. Rozumiał, że musi otwarcie wystąpić przeciwko finansjerze, wydawcom gazet czy dyżurnym ekonomistom, by zdemaskować ich „prawdy” jako przesiąknięte partykularnym interesem. Stąd w jego przemówieniach pełno było zawołań do tego, by lud zgromadził się wokół niego w obronie przed tymi, którzy chcą zawiadywać państwem, gospodarką i kulturą we własnym interesie.

Tak jak Bryan miał za sobą zbuntowanych farmerów, tak Roosevelt mógł oprzeć się na związkowych i pracowniczych walkach lat 30. Dekada Wielkiego Kryzysu sprzyjała populizmowi nie tylko w polityce. Od twórców Hollywood po autorów ballad, trud, krzywda i solidarność zwykłych ludzi były opiewane z całą ich szlachetnością. W tej atmosferze trudniej było zdyskredytować populistyczną politykę jako wyraz dążeń zapijaczonych, ignoranckich mas.

Choć stare schematy argumentacyjne nadal żyły z całą mocą, to dołączono do nich nową melodię. Teraz Roosevelt i jego otoczenie krytykowani byli jako wrogowie wolności, będący po jednych pieniądzach z radzieckimi i nazistowskimi planistami. Chociaż klasy posiadające bały się wzmocnienia pozycji klas zdominowanych, to zarazem próbowały dyskurs walki klas

równoważyć narracją o wspólnym wrogu każdego porządnego Amerykanina – złym rządzie, który odbiera konstytucyjne wolności. Grunt pod wydarzenia powojenne został przygotowany: stopniowo to prawica uczyła się przejmować populizm do własnych celów (mobilizacja szaraczków przeciwko establishmentowi rządowemu), podczas gdy lewica stawała się coraz bardziej antypopulistyczna, aż w końcu wyładowała na pozycjach elitarystycznych. Podstawą tej nowej lewicowej elitarności w znacznie mniejszym stopniu niż majątek miało być wykształcenie i kapitał kulturowy.

...i antypopulizm Nowej Lewicy

Do istotnego przewartościowania doszło, gdy antypopulistyczne głosy zaczęły coraz częściej pojawiać się nie tylko po stronie bogaczy, bankierów z Wall Street czy usługowych i dziennikarzy. Drugą nóżką antypopulizmu zostać mieli specjaliści i elity kulturalne, mocniej związani z lewicą. Już powojenne lata makkartyzmu, gdy intelektualistów i artystów oskarżano o komunistyczne powiązania, prowadziły do pogłębionej refleksji nad „autorytaryzmem ludowym”. Wizerunek agresywnego rednecka ze strzelbą, chcącego strzelać do Czarnych, Żydów, lewaków, hipisów, feministek i gejów, umocniły niepokoje lat 1960. i 1970. wokół wojny w Wietnamie, ruchu praw obywatelskich czy kontrkultury.

Stało się tak, pomimo że Martin Luther King, którego poczynania na gruncie walki o równość ekonomiczną i o budowę wspólnego frontu niezamożnej większości często są dziś zapominane, zdawał sobie jasno sprawę, że podejmuje dziedzictwo Populistów z końca XIX wieku. King podkreślał, że był to ruch, którego aktywiści rozumieli konieczność mobilizacji ludzi pracy bez względu na kolor skóry.

Jednocześnie jednak dyżurni akademicy snuli zupełnie inną opowieść o populizmie. Zdaniem takich badaczy zjawiska jak Richard Hofstadter czy Seymour Martin Lipset populizm był

bolączką Ameryki, która gnieździła się wśród prostych ludzi. To tam kryły się pokłady rasizmu, antysemityzmu, militarizmu, seksizmu, skłonności do myślenia w kategoriach spisku, niechęć do edukacji i inteligentów, gloryfikacja prostych wartości tradycyjnej, wiejskiej Ameryki... Również modne nowolewicowe teorie, choć często nie wprost, skłaniały do dyskusji o osobowości autorytarnej, ucieczce od wolności i tym podobnych fenomenach, które w kręgach uniwersyteckich i kulturalnych rodziły poczucie osaczenia środowisk progresywnych przez konserwatywny lud. Dodatkowo, wraz z powojennym boomem edukacyjnym rosły szeregi osób z wyższym wykształceniem, dla których model społeczeństwa, w którym specjaliści zarządzają nieznającymi się na polityce masami, leżał po prostu we własnym interesie klasowym. Wynaturzenia zbiurokratyzowanego rządu, kompleksu militarno-przemysłowego czy służb specjalnych powołanych do infiltracji nowych ruchów społecznych, wiodły z kolei bardziej radykalnych lewicowców na pozycje, wedle których imperialistyczne, rasistowskie władze są emanacją woli farmerów, robotników i biedoty o autorytarnych ciągotach. Wszystko to do kupy, jak pokazuje Frank, pchało lewicę i Partię Demokratyczną na pozycje antypopulistyczne. Jednocześnie do ważnych przesunień dochodziło na prawicy.

Populizm reaganizmu i trumpizmu...

Pomimo osiągnięć ery Nowego Ładu Roosevelta i Harry'ego Trumana, a następnie programów Walki z Biedą i Wielkiego Społeczeństwa prezydentów Kennedy'ego i Johnsona, populistyczne marzenia The People's Party, idealistów lat 30. czy Martina Luthera Kinga, dalekie były od ziszczenia. Nierówności, militarizm, rasizm, alienacja, degradacja środowiska pozostawały nierozwiązanymi i nabrzmiałymi problemami Ameryki. Istotna zmiana polegała na tym, że polityka progresywna, która miałaby je rozwiązać, coraz rzadziej opierała się na mobilizacji niezamożnej większości i na zdrowym plebejskim rozsądku. Kiedy w latach 1960. i 1970. lud ogłoszono raczej częścią problemu, a nie jego rozwiązaniem,

odpowiedzią na ten antypopulizm elit – w tym elit lewicowych – mógł stać się nowy populizm, o proveniencji prawicowej.

Z pierwotnym populizmem łączyły go odwołania do ludowej mądrości, deklaracje uznania dla ciężko pracujących Amerykanów czy potępienie dla wyalienowanych ludzi przywileju. Jednak pomimo podobieństw retorycznych, ostrze prawicowego populizmu było zupełnie inne. Nie chodziło już o redystrybucję bogactwa przez rząd, lecz o maksymalne osłabienie władzy federalnych biurokratów, którzy marnują pieniądze podatników i tuczą nimi samych siebie. Celem nie było wzmocnienie związków zawodowych w kontrze do kapitału, ale pokazanie robotnikom, że ich fabryki są przenoszone do Azji przez niepatriotycznych polityków. Z kolei dążenie do masowego samoświecenia zastąpiła pogarda dla wykształciuchów, którzy promują dziwne, nieamerykańskie z ducha koncepcje, na których tracą prości ludzie.

Populizm, który przyniósł dwukrotne zwycięstwo Ronaldowi Reaganowi w latach 1980. – i którego spadkobiercą pozostaje dziś Donald Trump – był więc prawicową odpowiedzią na antypopulizm liberałów i lewicy. Frank opowiedział już kiedyś tę historię w pomniejszonej skali, na przykładzie stanu Kansas, który z dawnego bastionu zorganizowanego świata pracy stał się twierdzą konserwatywnych, probiznesowych Republikanów. W obliczu polityki skoncentrowanej w rękach technokratów i liberalnego obyczajowo establishmentu, amerykańskiej prawicy łatwo jest odbijać robotniczy elektorat hasłami wymierzonymi w rozpasany rząd i styl życia wielkomiejskiej bohemy.

...i antypopulizm clintonizmu

Dzieje się tak tym bardziej, że Demokraci począwszy od drugiej połowy lat 1970. obrali kierunek partii, która obiecuje realizację polityki opartej na sprawdzonych receptach, raportach i ekspertyzach. Masowy interes i emocje mają być

świadectwem niekompetencji, albo – co gorsza – uprzedzeń i faszyzmu. Należy wobec tego odwoływać się do rozumu wykształconej jednostki i wnosić wobec niej pewne oczekiwania: „Jeśli chcesz, żebyśmy Cię reprezentowali, najpierw musisz reprezentować nasze wartości”. Demokraci nie próbują reprezentować interesów i sentymentów ludowych. Odwrotnie – to lud ma przyjąć w swe progi idee i mody płynące z wiodących kampusów uniwersyteckich, uczonych think tanków czy innowacyjnych klastrów z Doliny Krzemowej.

Skoro lud jest siedliskiem obskurantyzmu, populistyczna polityka na lewicy zostaje zastąpiona przez politykę moralnie słusznym tożsamości. Interesy Afroamerykanów mają być wspierane nie przeciwko rasistowskiemu kapitaliście, ale rasistowskiemu białemu sąsiadowi. Podstawowym pogwałceniem dla praw kobiet są maczystowskie zachowania w rodzaju rozsiadania się przez mężczyzn w autobusach, a nie patriarchalny podział pracy. Mniejszości należy gettoizować wokół partykularnych spraw, zamiast integrować w uniwersalistycznym horyzoncie emancypacji niezamożnej większości. Kto zaś nie zdaje egzaminu z postępowego katechizmu, ten jest przez Demokratów porzucany jako niegodny bycia reprezentowanym.

Typowa dla prezydentury Billa Clintona w latach 1990. czy dla kampanii jego żony, Hillary w 2016 roku wizja polityczna oparta jest na ideale merytokracji z równością szans. To znaczy, należy usunąć dyskryminację, która uniemożliwia jednostkom realizację ich aspiracji ze względu na rasę, płeć czy orientację seksualną. Marzenia o wyniesieniu ludu, który wywalczy równość występując przeciwko kapitałowi i jego funkcjonariuszom, zostały zaś wyklęte jako populistyczne – ale już nie w dobrym sensie, bliskim dawnej The People's Party, tylko w rozumieniu, w jakim populistą jest Donald Trump. Każdy, kto chce sprzyjać ludowym instynktom, osuwa się w autorytarną demagogię. Stąd takie przerażenie wśród partyjnego establishmentu budziły prezydenckie próby Berniego Sandersa – populisty w starym, dobrym znaczeniu tego słowa, którego

próbowano dyskredytować wysiłonymi porównaniami do Trumpa.

Przeciwko antypopulistycznemu praniu mózgów

Historia antypopulizmu pióra Franka, choć rozgrywa się za wielką wodą, brzmi znajomo. Utyskiwania na ciemny lud, który daje się kupić dyktatorowi i w głębi duszy marzy tylko o biciu kobiet, gejów i muzułmanów, są nad Wisłą wszechobecne. Pod tym względem ostatnie wybory prezydenckie były imponującą manifestacją „nienawiści do demokracji”. Choć wszyscy zatrwożeni werdyktem większości mają na ustach „obronę zagrożonej demokracji”, w gruncie rzeczy marzą o tym, żeby wyboru dokonali ci, którzy nie dają się bakcyłowi populizmu (pisałem o tym szerzej w „Kieszonkowym atlasie klasizmu polskiego”). Myśl, że można by wyborcom PiS zaproponować coś innego niż antypopulistyczny kordon sanitarny – jakąś pozytywną, porywającą wizję – okazuje się zbyt rewolucyjna. Nic dziwnego, ponieważ zbudowanie takiej wizji nie jest kwestią słusznej idei. Zwłaszcza na lewicy widoczne jest poczucie, że zasiewanie jej idei wśród klasy ludowej czy na polskiej prowincji byłoby jak rzucanie ziarna między chwasty. Alienacja reprezentantów od tych, których mieliby reprezentować, jest na to zbyt wielka. Wobec tego polska lewica abdykuje ze swojej historycznej roli i próbuje grać rolę przedstawicielki dobrze wykształconych mieszkańców dużych miast o liberalnych poglądach – nie tylko na kwestie kulturowe, ale i gospodarcze. W ten sposób, podobnie jak jej amerykańska odpowiedniczka, przechodzi na pozycje antypopulistyczne. Tym silniejsze, że polska lewica ochoczo kalkuje zza oceanu tematy, którymi chciałaby się zajmować oraz postulaty, jakie chciałaby realizować. W jeszcze większym stopniu niż beznadziejnie skażonej centryzmem lewicy parlamentarnej dotyczy to wielu (pseudo)radykalnych środowisk, kanap i nisz: toczących niekończące się dyskusje o „słowach, które ranią”, spisujących dekalogi konsensualnego seksu,

demaskujących w swoich szeregach „skrajną transfobię”. Taką postawę można uznać już programowym antypopulizmem, ponieważ jej konsekwencją zawsze będzie oskarżenie zwykłego Polaka czy Polki, że nie spełnia antyprzemocowych norm frazesowo-zradykalizowanej bańki lewicowej.

W konkluzji swojej książki Frank przekonuje, że to właśnie populizm może być jedyną skuteczną odpowiedzią na polityków pokroju Trumpa czy Reagana z jednej strony, ale i na kawiarniany antypopulizm dzisiejszej lewicy z drugiej. Co ważne, autor daje historyczne argumenty przeciwko tezie, że postawienie na równość ekonomiczną i zaangażowanie w ruch na jego rzecz szerokich mas, oznacza konieczność rezygnacji ze sprawy antyrasizmu, równości kobiet czy praw mniejszości. Ruchy populistyczne wielokrotnie były wyrazicielami szerokiej agendy równościowej. To, że utraciły w tym zakresie zaufanie elit lewicowych, wynika z oderwania się od swojej bazy społecznej. Z wyżyn awansu klasowego, kulturowego i edukacyjnego patrzą one na klasy niższe z podejrzliwością, jeśli nie z inkwizytorskim zapałem. Jak pisała włoska feministka marksistowska Mariarosa Dalla Costa: „Dziecko z europejskiej klasy robotniczej, podobnie jak dziecko z czarnej klasy robotniczej, widzi w nauczycielu kogoś, kto uczy je czegoś, co ma być przeciwko jego matce czy ojcu, nie po to, by bronić tego dziecka, lecz po to, by zaatakować klasę, do której ono przynależy. Kapitalizm to pierwszy system produkcji, w którym dzieci wyzyskiwanych są dyscyplinowane i edukowane w instytucjach organizowanych i kontrolowanych przez klasę posiadającą. Ostatecznym dowodem na to, że ta obca indoktrynacja, która rozpoczyna się w przedszkolu, jest oparta na rozdzieleniu rodziny, jest to, że ta (garstka) robotniczych dzieci, która dostaną się na uniwersytet, ma tak wyprane mózgi, że nie są już w stanie rozmawiać ze swoją społecznością”.

Przepracowanie tego antypopulistycznego zaczątku i odzyskanie tego, co w populizmie najbardziej wartościowe, jest

warunkiem odrodzenia lewicy.

Autorstwo: dr Łukasz Moll

Źródło: [NowyObywatel.pl](https://nowyobywatel.pl)

Bibliografia

Thomas Frank, The People, NO. A Brief History of Anti-Populism, New York 2020.